



GOŚCIE

Napisał: Marek Robert Falzmann

Ilustrował: Bogusław Orliński

– Jechałem trzy dni i trzy noce, żeby to zobaczyć. Jestem głodny, chce mi się pić, a na dłoniach mam odciski od kręcenia kierownicą.

– Nudzisz, synu... – dwumetrowe chłopisko, z łysą głową i rękami drwała, stanęło obok kontuaru.

Max westchnął:

– Słyszałem to dzisiaj w pięciu hotelach.

– Moment, panie obcy... – dwumetrowy uśmiechnął się. – Proszę nas zrozumieć. W tym miasteczku od tygodnia każdy dom, szopa, garaż czy nawet psia buda jest zajęta przez ludzi z zewnątrz.

Dopiero teraz Max zwrócił uwagę na odznakę policyjną, wpiętą w kieszeń koszuli wielkoluta.

– Bronimy się przed tym najazdem. To był niezły interes do wczoraj. Ale dzisiaj rano mieliśmy dużo kłopotów z pielgrzymką jakichś fanatyków. Drogi są zamknięte szlaba-

nami od rana... Zaraz, zaraz... A jak się tutaj dostałeś, kolego? – Łysy niedowierzająco zerknął na odznakę Maxa.

Max popatrzył na mały rewolwer pod pachą policjanta. Rewolwer nie był taki mały, czterdziestka piątka, ale ginął całkowicie w cieniu potężnych mięśni.

– Przez kopalnię żwiru. Stara droga, stary most.

– Tam do licha, zapomniałem to zablokować – jęknął dwumetrowiec.

– Bez strachu, ledwie przejechałem, a most runął.

– To dobrze. Płacicie, kolego, dwieście za uszkodzenie mienia publicznego.

– Dam sto. Wypadł tylko jeden legar. – Max wyciągnął pięćset i położył na kontuarze.

– Załatwione – policjant schował banknot i skinął na szpakowatego mulata liczącego kieliszki.

– Alfredzie, ten tajniak musi coś zjeść, wypić i przespać się w uczciwym łóżku.

– Fasolka z puszki, suchary, kawa bez cukru. Razem pięćdziesiąt plus dziesięć procent za obsługę. – Mulat położył na talerzu jeden suchar pamiętający czasy Kolumba, małą, zardzewiałą puszkę ze zdartą etykietą oraz kubek, w którym brązowa woda imitowała kawę.

– Czy można prosić o otwieracz? – spytał Max, kładąc obok talerza jednego dolara.

Mulat popatrzył na dolara, popatrzył na wielkoluda i splunął w stronę uchylonych drzwi. Policjant zrobił krok do przodu.

– Nie lubimy tutaj szpicli ze stolicy.

Max miał dosyć tej komedii. Zrobił też krok do przodu i walnął na odlew wielkoluda w ucho. Policjant osunął się za bufet.

– Prosiłem o otwieracz – grzecznie powtórzył Max.

Mulat trzęsącymi się rękoma złapał za puszkę i suchar. – Nie dam, nie dam... – powtarzał i rakiem cofał się w stronę drzwi.

– Dlaczego? – spytał Max. Jedyną odpowiedzią były cichnące kroki uciekającego człowieka.

– Kupa wariatów! – głos należał do chudego typa w szortach i hawajskiej koszulce, ukrytego do tej pory za donicą z palmą.

Max nie słuchał. Odebrał od zemdlonego swoją pięćsetkę, zabrał też jednego dolara oraz otwieracz wiszący na gwoździu obok reklamy „Panama-Owoce-Eksport”.

– Mogę panu ofiarować niezłe spanie – chudzielec znacząco pstryknął palcami – za jedne dwadzieścia. Albo nawet za dziesiątkę – dodał szybko widząc, że przynęta nie wzięła.

– Poważnie, potrzebuję łóżka, kąpieli i uczciwej kolacji. – Max uderzył ręką w stolik. Metalowy blat w zetknięciu z protezą szczęknął groźnie.

– Ma pan to za darmo, jeśli przyniesie mi pan z domu butelkę bananówki i kurczaka z lodówki.

– Dlaczego akurat mam to zrobić? I o co chodzi?

– Umowa. Podpisałem umowę, że nie wejdę do swojego domu do jutra wieczorem. Żonę i dzieciaki wysłałem już wcześniej do teściów za miasto. Kto mógł jednak wiedzieć, że przez

trzy dni w tym zwariowanym grajdole jedyną jadalną rzeczą będą szczury, psy i koty, i to też nie jest takie pewne, czy będzie na co zapoławiać.

– Skoro właściciel ma trudności, to co dopiero intruz... – Max wzruszył ramionami i skierował się do drzwi.

– Nie, właśnie pan może. Oni chętnie pozwolą tam mieszkać, tyle że...

– Że co? – Max popatrzył podejrzliwie.

– Ach, drobiazg. – Chudzielec wyciągnął z kieszeni klucz. – Śmiało może pan korzystać z lodówki. Te żółtki mają własne zapasy.

Max bez słowa przyjął klucz. „Może to oni?” – pomyślał.

– Gdzie? – spytał.

– Pierwszy dom za rogiem. – Chudzielec podał mu prawo jazdy. – To są moje dokumenty. To jest mój adres. Ja nie kłamię. Podpisałem umowę.

– Zobaczę, co się da zrobić. – Max podrzucił do góry klucz i złapał go lewą ręką.

Dom chudzielca był całkiem przyzwoitą budowlą w stylu kolonialnym. Na rozległym trawniku stały dwa leżaki i stolik. Porzucona piłka i zakurzona lalka świadczyły, że w tym domu nie tak dawno były dzieci. Max minął rozległą werandę i od frontu dostał się do domu. Wewnątrz było sennie, cicho i pachniało naftaliną. Na schodach stał człowiek. Lekko skośne oczy i żółta cera nadawały mu osobliwy wygląd. „Niezły kamuflaż” – pomyślał Max. „Jeśli to oni, to trafiłem w dziesiątkę”.

– Dzień dobry – powiedział głośno. – Właściciel prosił o kurczaka i butelkę wódki.

Żółty skinął potakująco głową i wskazał na kuchenne drzwi.

– Mam też tutaj nocować! – dodał Max.

– Cały parter jest do pana dyspozycji – powiedział tamten i uśmiechnął się, lekko błyskając czystymi zębami.

„Plastykowe. Sztuczne jak reszta”. Max też się uśmiechnął. Potem poszedł do kuchni. Wziął to, co miał zabrać, i wrócił do hotelu.

– Proszę – podał paczkę chudzielcowi.

– Widział pan tych żółtych? – spytał niefortunny właściciel domu.

– Nie, jeszcze nie. Ale dziękuję za pomoc. Odwdzięczę się.

Kiedy wychodził, usłyszał jęk za bufetem. „Oto budzą się kłopoty” – pomyślał. Zabrał z samochodu walizkę, aparat fotograficzny i tak obładowany wszedł do domu. Ten sam, chyba ten sam skośnooki żółtek warował na schodach. Max milcząc ruszył do saloniku i kiedy zamknął za sobą drzwi, parsknął śmiechem. „Skośnookie szpicle z plastyku” – szepnął przekręcając klucz w zamku. Następną godzinę spędził w wannie i przy kuchennym stole. Lodówka chudziela była istotnie pełna jedzenia, a jego barek też nie świecił pustką. Nareszcie wymoczony, odprężony i syty mógł iść spać. Odwijał właśnie róg pledu i starał się zbadać miękkość materaca, kiedy drzwi od sypialni z głośnym hukiem otwały się i znajomy policjant z pukawką w ręce wszedł do środka.

– Tylko bez numerów... – zaczął.

– O co chodzi? – Za plecami policjanta pojawiło się żółte indywiduum.

– Przymknij się!... – Łysy nie miał szczęścia tego wieczoru. Tylko tyle zdążył powiedzieć, nim żelazny pręt, który nie był żelazny, odebrał mu dar mowy i pamięć.

– Przepraszam za kłopoty. – Skośnooki bez wyraźnego wysiłku dźwignął jedną ręką dwumetrowca i cicho zamknął drzwi sypialni.

– Nie ma za co. – Max położył się i zamknął oczy. „Zwariowany świat – szepnął – to jest zwariowany świat. Nie dość, że przylecieli goście z nieba, to jeszcze nie mogę sobie pospać! Co to za kraj, gdzie byle glina wymachuje rewolwerem i bez nakazu ładuje się do domu?”

Śniło mu się, że otwiera dużą, żółtą puszkę, z której wyskakują zielone żaby ubrane w hełmy.

Następnego dnia, przebrany w lekkie, płócienne ubranie i kapelusz ze słomki, z aparatem na ramieniu, wyszedł na miasto. Nie musiał pytać, gdzie jest pojazd kosmitów, albowiem zwarty tłum otaczający centralny plac stanowił drogowskaz trudny do pominięcia. Nieprawdopodobny zgiełk i hałas mieszał się z podnieconymi wrzaskami ludzi z telewizji i filmu okupującymi jedną ze stron placu. Zwarte szeregi wojskowych pojazdów odgradywały wielkim kołem krystaliczny wielokątny

obelisk wbity krzywo w kwietnik obok pomnika Boliwara. Max prześliznął się z trudem do bariery strzeżonej przez uzbrojonych żołnierzy.

– Nie wolno... – stereotypowo zaczął oficer dyżurny.

Max pokazał mu legitymację.

– Przepuścić – powiedział oficer i niedbale dotknął dłonią hełmu.

Poza barierą nie było nic, tylko drgająca od upału pustka i ten tajemniczy, kryształowy pojazd. Max szedł wzdłuż bariery, aż dotarł do stanowisk telewizji i filmu. Tutaj zatrzymał się przy niewielkim cytrynowym mikrobusie z kamerą filmową na dachu. Tablica rejestracyjna wskazywała, że byli to cudzoziemcy.

– Japonia? – spytał skośnookiego operatora.

– Malezja – padła krótka odpowiedź.

– Świetnie pan mówi w naszym języku – kontynuował Max rozmowę zapalając papierosa.

– Po ojcu mam zdolności do języków, a że moja matka urodziła się tutaj, więc sam pan rozumie... – żółtek błysnął plastikowymi perełkami uzębienia, nie przestając manipulować przy kamerze.

– Co pan o tym sądzi? – spytał Max i skinął ręką w stronę krystalicznej bryły.

– Nieporozumienie... – zaczął kamerzystą, ale szybko zmienił temat.

– Oczywiście, naukowcy będą mieli używanie. Niepokojące jest tylko to opóźnienie ekipy ONZ.

– Biurokracja – westchnął Max.

– Paskudna biurokracja – powiedział kamerzystą.

Max wyjął swój aparat i zrobił kilka zdjęć.

– Paskudny upał – powiedział chowając aparat. – Wracam do domu i biorę prysznic.

– Najwyższa pora odpocząć. – Żółtek już złożył swoje narzędzia pracy i teraz zachęcająco wskazał na siedzenie obok kierowcy.

– Podwożę pana – powiedział. – Bądź co bądź jesteśmy sąsiadami w jednym domu.

– I to bardzo bliskimi – dodał Max, myśląc: „i diabli wiedzą jak długo, a raczej od jak dawna”.



Przed domem chudzielca czekał na niego znany mu dobrze policjant z lysą głową ukrytą pod hełmem.

– Telegram – powiedział salutując regulaminowo.

Max rozerwał kopertę i przeczytał tekst.

– Doręczcie to dowódcy ochrony obiektu. – Oddał telegram policjantowi. – Potem tutaj wróćcie.

– Coś się stało? – spytał kamerzysta, kiedy wchodzili do domu.

Max zobaczył drugiego żółtka ciągle warującego na schodach.

– Owszem. Ten pojazd kosmitów to tylko kawałek z wyposażenia europejskiej rakiety,

która tydzień temu wyniosła na orbitę nowego satelitę komunikacyjnego.

Kamerzysta nie wyglądał na zaskoczonego. Zresztą Max tego nie oczekiwał w tej chwili.

– Myślę, że możecie już wracać do siebie – powiedział i zrobił krok w stronę schodów.

– Dokąd? – spytał żółtek stojący na półpiętrze.

– Do siebie – powtórzył Max i wyciągnął z kieszeni otwieracz do butelek.

– Nic nie rozumiem... – zaczął kamerzysta, ale zrozumiał, kiedy Max jednym płynnym ruchem wcisnął mu otwieracz do oczodołu.

– Nie trzeba – powiedział drugi żółtek wyciągając z kieszeni metalowy pręt, który nie był prętem z metalu.



– Bez amnezji, bo go otworzę – powiedział Max.

Niby – żelazny pręt zniknął tam, skąd wyszedł.

– O co chodzi? – spytał kamerzysty.

– O przekonanie. – Max ostrożnie zdjął otwieracz z imitacji gałki ocznej.

– Macie wspomniały kontrwywiad. – Żółtek ze schodów uśmiechnął się. – Pewnie nie chcecie nas znać...

– Nie, nie o to nam chodzi. – Max zgasił papierosa.

– Więc? – kamerzysta tym razem był zaskoczony.

– Mogłaby zaistnieć taka sytuacja, że istotnie zdołałyby wylądować tutaj istoty z innej galaktyki. Wrogie nam istoty. Mała szansa, no, ale... powiedzmy.

– Bravo! Coś nam tutaj nie grało od początku. Tym razem udało się wam, mówiąc waszym slangiem, „zrobić nas w konia”.

– Raczej nabrać na wiadomość o przylocie istot z kosmosu.

– Cel?! – tym razem pytanie zadał trzeci żółtek, który bezszelestnie pojawił się na schodach.

– Chcemy wiedzieć, czy można na was liczyć.

Max odwrócił się i wszedł do swojego pokoju. „Po wszystkim – myślał. – Teraz ich ruch. Czas wracać do domu”. Kiedy już spakował walizkę, ktoś zapukał do drzwi. Był to policjant. Tym razem bez hełmu, ale ze sporym plastrem na skroni.

– Melduję się...

– Możecie nie kończyć – powiedział Max. – Weźcie to i to – wskazał mu aparat i walizkę.

Na podwórku, przy samochodzie, stało trzech żółtych i skośnookich.

– Żegnaj! – powiedzieli kłaniając się lekko. – Polecamy się na przyszłość.

– Bay, bay! – Max zapalił silnik i skinął na policjanta, wskazując mu miejsce obok siebie.

Na trzecim kilometrze za miastem Max zjechał na boczną drogę prowadzącą do starej i zapomnianej zagrody dla owiec. Tutaj w jednej z osobno stojących ovczarni ukrył samochód. Siedzieli w milczeniu. Max palił papierosa, a policjant milczał i pocił się. Po godzinie

od strony drogi nadjechał cytrynowy mikrobus. Zakręcił koło zagrody i miał chyba zamiar zjechać w dół w stronę urwiska, ale nagle zatrzymał się, a jego pasażerowie wysiedli i pospiesznie zaczęli krzątać się przy jednym z kół pojazdu.

– Znów te azjatyckie żółtki – powiedział policjant i sięgnął do klamki.

– Siedzieć! – Max opuścił szybę i teraz mogli usłyszeć odległy, ale zbliżający się szybko warkot silników dużego śmigłowca.

– Zabierzcie ten samochód do miasta i oddajcie go nowemu właścicielowi – powiedział Max. – Jestem mu to winien.

– To znaczy komu? – spytał policjant.

– Taki chudzielec. Mieszkałem jedną noc w jego domu.

– Tak jest. – Policjant odruchowo próbował zsalutować i mało nie złamał ręki o niski dach. „Smutne nawyki z wojska” – pomyślał Max wysiadając.

– Panie inspektorze! – Policjant przełknął głośno ślinę. – Ta sprawa wtedy w barze...

– Nie było żadnej sprawy.

Musieli teraz krzyżeć, bo śmigłowiec lądował obok szopy.

– Tak jak z tymi gośćmi z kosmosu? – spytał policjant.

– Nie! – Max uśmiechnął się. – Mamy już pewność, że oni istnieją i na pewno nam pomogą.

– Nic nie rozumiem...

– Zrozumiecie!

Max skulony wybiegł z szopy i wskoczył do kabiny wojskowego śmigłowca, który natychmiast poderwał się i ruszył na południe. Kiedy ucichł jego potężny warkot, pasażerowie mikrobusu rozejrzeli się po okolicy i, uspokojeni ciszą, wsiedli do swego cytrynowego pojazdu, który szybko ruszył w stronę urwiska.

„Przecież tam nie ma drogi, zabiją się” – pomyślał policjant i gorączkowo wycofał swój samochód z szopy. Zrobił to jednak za późno. Cytrynowy mikrobus ze wzrastającą prędkością ominął barierę, zawisł przez moment nad przepaścią, po czym z bezgłośnym rozblyskiem zamienił się w żółty dysk, który od razu ruszył pionowo w górę.